

YIANNIS  
KALPOUZOS

# IMARET

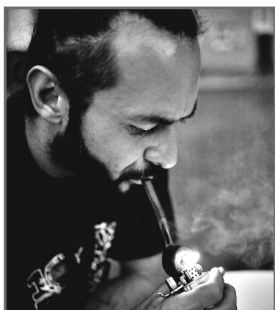
W CIENIU ZEGARA



# IMARET

## W CIENIU ZEGARA

## ARES CHADZINIKOLAU



© archiwum tłumacza

Ares „Jah Ares” Chadzinikolau (ur. 1973 w Poznaniu)  
– pianista, kompozytor, pedagog, pisarz, poeta  
i tłumacz. Wykładowca fortepianu na Akademii  
Muzycznej w Poznaniu. Zasłużony działacz  
kultury. Syn pochodzącego z Grecji poety, pisarza  
i historyka literatury, Nikosa Chadzinikolau.  
Wielokrotny stypendysta MKiDN. Wydał ponad  
trzydzieści książek, przetłumaczył kilkanaście  
tomów greckiej poezji, 19 płyt i 5 zeszytów nut  
z autorskimi kompozycjami na fortepian.

YIANNIS KALPOUZOS

# IMARET

## W CIENIU ZEGARA

Przełożył:  
Ares Chadzinikolau



WROCŁAW 2014

Tytuł oryginału greckiego:  
*Ιμαρέτ. Στη σκιά του ρολογιού*

Przekład:  
Ares Chadzinikolau

Redakcja:  
Izabela Jesiołowska | [Edytorial.com.pl](http://Edytorial.com.pl)

Korekta:  
Urszula Włodarska, Ola Maciejewska

Projekt okładki:  
Justyna Boguś | [MileWidziane.com](http://MileWidziane.com)

Projekt układu typograficznego:  
Wioleta Kowalska | [Violet Design](http://VioletDesign.com)

Copyright © by Metaichmio Publications & Yiannis Kalpouzos,  
2008.

Copyright © for the Polish translation by Książkowe Klimaty 2014.

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 70 gsm vol. 2.0  
dostarczonym przez Paperlinx Sp. z o.o. | [www.paperlinx.com.pl](http://www.paperlinx.com.pl)

ISBN: 978-83-64887-03-1

*Z powodu bliskich i naturalnych stosunków,  
jakie rodziły się między Grekami a Ottomanami,  
nie było konieczne zmienianie stylu życia  
ani wystawianie na próbę prawdziwych przyjaźni.*

**SPIRIDON PAGANELIS**  
**PODRÓŻNE ZAPISKI**  
**WOJSKOWA OKUPACJA ARTY (1882)**



## **OD WYDAWCY**

Pisownia nazw greckich została przyjęta na podstawie zasad transkrypcji. Pisownia części nazw tureckich, zgodnie z oryginałem, została przetranskrybowana z języka greckiego.





## PROLOG

### NOCA, 11 KWIETNIA 1854

Zamkowy zegar – najstarszy mechaniczny zegar tarczowy, jedyny w nieskończonym Imperium Ottomańskim – wybijał właśnie drugą w nocy. Dźwięk dzwonu dotarł do uszu Liondosa Fersitisa niczym słodki śpiew. Zsiadł z konia na stromej, kamienistej drodze, blisko ruin starego młyna wodnego, pozostawiwszy za sobą niekończące się szczyty gór. Ponownie dosiadł klaczy i pogalopował dalej po okolicznej równinie.

Mając się cały czas na baczności, skierował wzrok w stronę Arty. Drzewa oliwne były tak wysokie, że zasłaniały blade światła miasta. Tylko księżyc roztaczał swój blask i jak latarnia prowadził Liondosa, by nie widział ran tej zbezczeszczonej ziemi.

Świetlisty Srebrny Glob i odgłos zegara dający znać, że minęła godzina, rozjaśniały jego duszę. Nawet wiatr grający w liściach ucichł. Nagle zdało się Liondosowi, że nieopodal przebiegło jakieś zwierzę. Klacz furknęła, prostując łeb. Oblał go zimny pot.

Przestraszony, rozglądał się to w lewo, to w prawo. Cienie drzew przybrały dziwne, na poły ludzkie kształty. Wyglądały, jakby miały skoczyć na niego, i to uzbrojone w kindzały. „Nawet grób ożyje ze strachu” – przypomniał

sobie tureckie powiedzenie, kiedy rytmiczne uderzenia podków przerwały nocną ciszę. Liondos Fersitis odczuwał niepokój już przed godziną, gdy wyjeżdżał z klasztoru. Sprawcami tego odczucia były niepowodzenia powstania greckiego i trudna sytuacja w okolicy.

Jechał pod górę, w stronę zalesionej Markiniady, kiedy dopadła go sfora ujadających dzikich psów. Przez dziesięć minut walczył o życie. Udało mu się uciec dzięki klaczy Artemidzie, zresztą pogryzionej przez zwierzęta. Niestety, stracił większość darów od przeora: sery, chleb, jajka, wędzone mięso i dwa gliniane dzbanki miodu. Psy rzuciły się na jedzenie, a on oddalił się galopem. Nie zwracał uwagi na ich ujadanie i pianę kapiącą im z pysków. Choć od tego wydarzenia minęły ze trzy godziny, więcej nie pojawiły mu się na drodze.

Gdy podążało się na wschód, na jednym ze szczytów widać było klasztor Matki Boskiej, nazywany Theotokos. W dali, po prawej stronie, majaczyły domy Pety, pobudowane na zboczach skał, gdzie walczyli właśnie Kicos Cavelas, Spiros Karaiskakis, syn Georgiosa, Zachos Milios, Plapoutas, Petmezas, Kalamoudartis i inni dowódcy wraz z wyspiarzami, rumeliotami, moraitami i rebeliantami Radowizju i Tsoumerki.

Pozostali tutejsi bojownicy rewolucji greckiej: Kosisivakis, Skaltsougiannis, Cigaridis, Kondounik, Kaciko-  
giannis, trzymali się blisko Arty, Kamiennej Góry i rzeki Arachtos.

Wielu wierzyło, że wraz z powstaniem na początku roku nadejdzie wyzwolenie Arty i Epiru. Nadzieje wybuchły trzydziestego pierwszego stycznia, gdy porucznik Spiros Karaiskakis wraz z mężczyznami weszli do miasta i przegonili Ottomanów do zamku. Potem śnieg

i mróz utrudniły walki i część bojowników przeniosła się do Pety. Powstańcy wciąż walczyli. Wszyscy dzień po dniu wypatrywali na zamku greckiej flagi, nasłuchiwali jej trzepotu. Turcy doliczyli się już pięciuset poległych. Ich morale osłabło, więc przywódca Setik postanowił wycofać rodziny osmańskie do Janiny.

Także w Pecie czekali spokojnie jeszcze miesiąc, aż zapał powstańców osłabnie. W tym czasie mówiono też o konszachtach Kicosa Cavelasa z Anglikami i Turkami, ponieważ sytuacja materialna walczących Greków była bardzo trudna. Gdy dwa statki, angielski i francuski, dopłynęły do Zatoki Ambrakijskiej, prawie udało się uzyskać niewielkie wsparcie. Jednak wygłodniałi Ottomanowie odbili część darów i rozochoceni uderzyli na trzy pobliskie przygraniczne wioski. Splądrowali je i podpaliłi. Dla mieszkańców Arty i okolic kończył się powstańczy sen. Zbliżała się Wielkanoc.

Od czterystu pięciu lat niewoli niewiele się zmieniło.

Dwudziestego czwartego marca 1449 roku Ottomanowie zawiesili na zamku swoją flagę z półksiężycem. Zatrzepotał nad antyczną Ambrakią i dwudziestoma pięcioma tysiącami mieszkańców złotej epoki Pirru, nad Artą, stolicą despotycznego Epiru, górując nad zgębnionymi duszami greckimi, które starały się za wszelką cenę utrzymać swój ród, do czasu, gdy odzyskają wolną Grecję.

Liondos Fersitis rozmyślał o przeszłości. Zależało mu teraz na powrocie do domu i ukochanej żony. Śpieszył się, chciał zdążyć przed nocą. Stracił już wystarczająco dużo czasu, kiedy przebywał w klasztorze Melaton, dokąd trafił wiedziony głęboką wiarą. Szukał ukojenia po dwóch poronieniach żony. Oddał się pod opiekę

Matki Boskiej, błagając, by tym razem żona urodziła zdrowego i silnego syna. Tak długo na niego czekali.

Tysiąc osiemset pięćdziesiąt cztery modlitwy złożył przed ikoną Matki Boskiej, tyle, ile lat minęło od narodzin Chrystusa. Obiecał, że będzie modlił się tam zawsze w kwietniu i ósmego września, w dzień narodzin Matki Boskiej oraz że przywiezie ze sobą dziecko, które ma się narodzić.

„Będzie żył!” – powtarzał w myślach, głęboko w to wierząc. W jednej ręce ścisnął świętą, drewnianą ikonę, którą podarował mu przeor Genadios.

– Ze świętego szczytu Athos! Zawieszysz tę relikwię w kołysce dziecka. Będzie je chronić. Miej tylko wiarę, a wszystko będzie dobrze.

Dzięki tym słowom Liondos umacniał się w wierze, ale też – w miarę jak zbliżał się do miasta – wzmagął się jego niepokój.

12      Klasztor i Peta były już daleko za nim. Jechał teraz przez równinę. Oliwne drzewa przechodziły w winnice. W głębi ujrzał wreszcie majaczące światła Arty. Widok przypomniał mu o jednej z ulubionych ksiązek. Wydało mu się, że otwiera ją, by znaleźć się w labiryncie dróg i szukać z nich wyjścia, a dzięki przemierzaniu stromych i wąskich ścieżek uczył się harmonii życia. Wyobrażał sobie przez lata, jak spaceruje po owych ścieżkach, trzymając syna za rękę, jak wyjawia mu tajemnice każdego z miejskich zakamarków, budynków, kościołów, meczetów, jak opowiada mu o Ambrakii. Tak, właśnie o niej, choć niektórzy twierdzą, że leżała w innym miejscu, bliżej morza. On jednak był przekonany, że znajduje się pod dzisiejszym miastem, tu, gdzie

Arachtos płynie szerokim korytem i wpada do morza, użyźniając glebę. Są tu też szczątki antycznych murów, o których pisał kapitan Leik przed pięćdziesięcioma laty, gdy znalazł liczne artefakty podczas wykopywania ziemi pod fundamenty swojego domu. Monety, amfory, pięknie zachowaną rzeźbę Artemidy, od której miasto podobno wzięło swą nazwę. Wyróżnił też miejsca, takie jak cmentarz żydowski u podnóża Kamiennej Góry i – dalej, na południu – wgłębienie między skałami, gdzie dziś znajduje się klasztor Matki Boskiej, w chwili wybuchu powstania zamieniony przez Ottomanów w fortecę.

Klacz zaczęła parskać i nerwowo rzucać łbem.

– Spokojnie, Artemido! Nic się nie dzieje, moja dziewczynko, już dojeżdżamy – mówił łagodnie. Pochylił się i poklepał jej szyję. – Jeszcze trochę, już widać nasze miasto...

Nie dokończył. Rozległ się huk wystrzału. Liondos poczuł pieczenie w prawym ramieniu. Przerazona klacz, parskając, stanęła dęba. Zrzuciła jego ciało na piaszczystą drogę. Ogłuszony i obolały próbował wstać. Spłoszona przed chwilą Artemida już stała obok i zniecierpliwiona uderzała kopytami o ziemię.

Chwycił lejce, podniósł się. Włożył stopę w strzemię i z wielkim wysiłkiem ponownie znalazł się na jej grzbiecie. „A gdzie moje pieniądze?!” – pomyślał w ułamku sekundy. Wydawało mu się, że sakwa gdzieś wypadła, ale czy tak było naprawdę? Nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy ma ją na miejscu. Odruchowo spiął klacz i ruszył do galopu.

W świetle księżyca Liondos ujrzał po lewej stronie postać na skale. Nie ujechał nawet dziesięciu metrów, gdy tamten znów wystrzelił.

– Ty przeklęty skurwysynu! – zawył Liondos.

Drugi strzał trafił go w plecy. Mężczyznę przeszył silny ból, bezwładnie opadł na konia. Choć przechylał się to w prawo, to w lewo, udało mu się jednak utrzymać w siodle i dotrzeć do rzeki. Za rzędem drzew kierował się wciąż w stronę miasta.

Zegar zamkowy wybijał trzecią w nocy ottomańskiego czasu, gdy Agni Fersiti, zacisnąwszy zęby, zbierała siły do następnego parcia.

– Jeszcze raz! I jeszcze raz! A niech cię! Wreszcie go widać! – słychać było głos położnej Boleny.

W tym samym pokoju siedziały w skupieniu Fotini, siostra Fasganosa, i Anastasia Megi, najbliższa przyjaciółka Agni. Były w gotowości.

Na podwórzu, w pobliżu miejsca, w którym Liondos Fersitis ustawił na postumencie posąg Artemidy, Damianos Megis nerwowo przechadzał się z fajką w ustach, nasłuchując krzyków Agni i poleceń Boleny. Podchodził do drzwi wejściowych, otwierał je po cichu i zamykał. Potem opierał się o ścianę i znów chodził w tę i z powrotem.

14

Denerwował się, bo jego najlepszy przyjaciel jeszcze nie wrócił, a Agni, choć rodziła w asyście położnej, wcześniej już dwukrotnie poroniła. Ich osobisty lekarz Krokidas, podobnie jak pozostali, wyjechał do Prewezy, kiedy wybuchło powstanie. Jakby tego było mało, w godzinach popołudniowych następnych tysięcy tureckich żołnierzy dotarło do zamku w Salaorze. Tym samym ich liczba wzrosła do pięciu tysięcy. Nowo przybyli rozpowiadali, że pokonali powstańców w Pecie. Miasto ucichło. Tawerny, kawiarnie, winiarnie były pozamykane. Na

ulicach żywej duszy. Wielu muzułmanów i Żydów nocowało w zamku, a reszta schroniła się w domostwach. Spora część Greków opuściła stolicę, oblężoną przez otomańskie wojsko. Uciekli na wieś i do mniejszych okolicznych miasteczek, jeszcze zanim został wprowadzony zakaz podróżowania bez specjalnych przepustek. Dzięki temu ocalili, bo wojsko i tak plądrowało domy, a i rozjuszonych fanatyków tu nie brakowało.

– Jeszcze raz! Przyj! – znowu dobiegł go głos Boleny. – Zaraz! Zaczekaj! Pępowina owinęła się dziecku wokół szyi!

Zaniepokojony Damianos Megis już wbiegał po schodach, gdy uświadomił sobie, jak jest bezsilny, więc ze spuszczoną głową wrócił do otwartego przedsionka w kształcie litery *pi* i spojrzął na puste pokoje. Po lewej znajdował się gościnny, a w głębi sypialnie i kuchnia. Po prawej stronie, z wyjściem na ogród – salon kominkowy.

– Powoli, spróbuję go uwolnić – tłumaczyła młodej matce Bolena, prosząc: – Dopomóż mi, Matko Boska!

Megis ponownie wyszedł na podwórze. Drzewa cytrynowe i pomarańczowe, róże i kosze kwiatów przy altanie odurzały zapachem. Przypomniał sobie piosenkę, którą śpiewali wraz z Liondosem przed domem Anastasii i później przed domem Agni, kiedy byli tak bardzo zakochani w przyjaciółkach:

*Gdy nadejdzie kwiecień,  
tak i ja przyjdę do ciebie,  
złożę pocałunek na twych wargach  
i kropla po kropli się upiję.*

Zanim Megis znowu podszedł do drzwi, uśmiech rozjaśnił mu twarz. Droga nadal pozostawała pusta,



Liondosa nigdzie nie było. Miał złe przeczucia. Znowu zerknął. Nic. Po drugiej stronie, przy ruinach kościółka Świętego Łukasza, słychać było rozmowy w rozświetlonym domu mahometan

– Wy brudni Turcy! Rozmnażacie się jak króliki! – wyszeptał.

Na lewo od ruin stał jeszcze jeden muzułmański dom, dużo mniejszy i nieoświetlony. Dom Fersitisa znajdował się na granicy dzielnicy świętej Teodory, którą zamieszkiwali Grecy, i dzielnicy sułtana Bâyezîda, gdzie był turecki bazar, przy którym mieszkali sami Turcy; mieli tu sklepiki. Dom Damianosa Megisa, handlowca i właściciela ziemskiego, znajdował się zaś w sąsiedztwie Ai-Mina, blisko konsulatu greckiego.

– Damianosie! – zawołała go żona. Pośpiesznie wszedł do środka.

– Syn! – ogłosiła radośnie, schodząc po schodach. – Śliczny blondasek!

W tym samym czasie, po sąsiedzku, w męskim salonie, który Turcy zwą *selamlükem*, siedzieli na kanapie, paląc fajki, Yaşar, jego brat Mehmet i ich ojciec Ismael, który pociągał nargile. Nilgün, czteroletnia córka Yaşara, i Behzat, jego trzyletni syn, to biegali, to kładli się na grubych, wschodnich dywanach. Siedmioletni Dogan siedział przy wujku Mehmedzie bardzo poważny.

Poza dywanami i nargile pana Ismaela w domu nie było innych wschodnich akcentów. Fotele, stoły, kominek, wazy i pozostałe meble oraz przedmioty utrzymane były raczej w paryskim, londyńskim lub weneckim stylu. *Selamlük* był nim tylko z nazwy. Co częste, współczesność wypierała zamierzchlą tradycję. *Selamlük*, znajdujący się pośrodku piętra, połączono z wieloma

pokojami, i to bez korytarzy. W *haremliku* natomiast, pokoju kobiecym, Safiye, żona Yaşara, właśnie urodziła syna, przy pomocy położnej i służącej Fatme.

– Necip – powiedział dziadek Ismael. – Dasz mu na imię Necip, po moim bracie.

– Żeby podzielił jego los? – zażartował Yaşar.

– Był bohaterem! – oburzył się Ismael. Jego brat w 1821 roku poległ w bitwie z Grekami o zamek. – Bohater! – powtórzył i jakby przepowiadając wnukowi przyszłość, stwierdził: – Będzie miał dobry los.

– *Allahme!* Bóg daje! – wzniósł ręce Yaşar. Nie podważał wróżby ani nie myślał już o innym imieniu dla syna.

– Ani grajków, ani śpiewów – narzekał Mehmet. – Mówiłem wam, że nawet chleb skończył się u niewiernych. Jeszcze dzień, dwa, a ich krew przemaluje kolor ziemi i wtedy będziemy świętować podwójnie.

– *Jabe!* Za zdrowie Necipa! – Yaşar podniósł szklanekę pełną rakii wypił za zdrowie trzeciego syna.

– Na zdrowie! – dołączyli do niego dziadek Ismael wraz z Mehmetem.

– Na zdrowie! Na zdrowie! – wołały też dzieci, Nilgün i Behzat. Tylko Dogan siedział skupiony na krześle i milczał.

Podkowy Artemidy stukały o kamienistą ulicę greckiego bazaru. Powolne kroki brzmiały niczym modlitwa. Liondos Fersitis leżał bezwładnie na szyi klaczy. Ledwo trzymał się w siodle. Ciężko oddychał, szepcząc: – Moje dziecko... ikona... moja Agni... pieniądze...

– Postrzelono mnie – oznajmił chwilę wcześniej żołnierzom tureckiej straży, kiedy przejeżdżał obok kościoła Świętej Teodory.

– Pokaż papiery! – Strażnik, niewzruszony, zażądał od Liondosa okazania pozwolenia na wjazd do miasta.

Liondos omal nie spadł z konia, gdy drżącymi rękami szukał pisma wystawionego przez Yaşara, wieloletniego przyjaciela, a potem uiszczal opłatę, bakszysz. Półszepetem mówił coś o zgubionej ikonie, подарowanej mu przez przeora. Albański kapral, oświeciliwszy sobie papier lampą, zerknął na jego treść i oddał go Liondosowi.

– Ruszaj stąd! – nakazał oschle i wrócił do rozpalonego ogniska, przy którym czterech czy pięciu jego kompanów piło rakiję. Śmiali się i pokpiwali.

Uznał, że nierozważnie będzie prosić ich o pomoc. Zalany krwią jechał dalej. Czuł, jak opada z sił. Minął dzielnicę świętej Teodory, kościół Świętego Marka i wolno przemierzał uliczki greckiego bazaru, gdzie pozamykane teraz sklepy mieli Grecy i Żydzi. Trzymał się prawej strony. Gdy dotarł do meczetu Kılıç Beya, około pięćdziesięciu metrów od kościoła Świętego Jerzego, czarna chmura zakryła księżyc i mrok spowił ziemię. Tylko gdy zbliżali się do którejś z nielicznych zapalnych latarni, snop światła rozjaśniał ciemności na pięć czy dziesięć metrów. Klacz szła teraz powoli środkiem ulicy, dzieląc los swojego pana. Pod koniec placu w dzielnicy Monopliou potknęła się, gdy wchodziła na jeden z drewnianych mostków. Mało brakowało, a Liondos Fersitis osunąłby się na ziemię.

– Do domu... muszę dotrzeć do domu... – wykrztusił z siebie słowa, które na chwilę dodały mu sił.

Miasto było wymarłe. Przy kościele Świętego Dymitra skręcili na północ do Ai-Mina, gdzie znajdowały się szlacheckie domy Greków. I tu też wszędzie panował mrok. Ani żywej duszy. Nie widać światła w domach,

nie słycać odgłosów rozmów. Nawet zwykle oblegana kawiarnia Kafe Aman była zamknięta. O tej porze panował tu gwar, rozlegała się głośna muzyka, było słycać śpiewy, a ludzie wchodzili i wychodzili.

Urywał mu się oddech. Zamilkł wzruszony. Jego dom był mniej więcej sto metrów stąd. Nagle poczuł zapach cytryn i pomarańczy, które kwitły właśnie w kwietniu. Nie pamiętał, by tak mocno pachniały!

– Śpijcie dzisiaj tu – zaproponował Yaşar bratu i jego żonie.

– Będę miał brudne portki. Idziemy do domu! – nakazał Mehmet.

Jego żona wolałaby zostać, ale nie śmiała się sprzeciwić.

– Pójdę z wujem Mehmetem – rzucił Dogan i pobiegl po drewniany miecz, który od niego dostał. – A jak się kto do nas zbliży, zetnę mu łeb! – zapewnił, przecinając bronią powietrze.

Yaşar już chciał się sprzeciwić, ale Mehmet go uprzedził:

– Daj mu spokój! Będę na niego uważał.

Mehmet miał słabość do Dogana, którego matka, pierwsza żona Yaşara, zmarła rok po urodzeniu syna.

– Zejdę z wami – powiedział Yaşar zdecydowanym tonem, ale Ismael odparł:

– Wilk wilka poprowadzi!

U podstawy podwójnych schodów rozstali się. Mehmet z żoną i Doganem wyszli, a Yaşar poszedł do ogrodu, gdzie znajdowała się stajnia z dziesięcioma końmi. Gdy się do niej zbliżał, usłyszał go stajenny Fuat, który drzemał w izbie obok.

– Panie... – powiedział przebudzony.

– Wszystko w porządku, Fuat. Patrę tylko – uspokoił go Yaşar, ale tak naprawdę czekał, aż Mehmet się oddali, a on będzie mógł podejść do domu Fersitisa i dowiedzieć się, czy Agni urodziła. W końcu rodziny się przyjaźniły. Nie miał też ochoty rozmawiać z Mehmetem, który nie pochwalał przyjaźni z niewiernymi, *giaurami*, jak fanatyczni Turcy nazywali chrześcijan.

– A pani Safiye? – zapytał zdawkowo Fuat.

Chmury znowu przysłoniły księżyc; zdawało się, że garb Fuata jest większy niż w rzeczywistości.

– Urodziła mi syna! – odparł dumnie Yaşar.

– Niech żyje! *Allahme!* Bóg z nim! – złożył życzenia Fuat.

Nagle usłyszeli krzyk Dogana dobiegający z ulicy:

– Ktoś martwy!

Mehmet z impetem otworzył drzwi i wpadł do ogrodu.

– To twój sąsiad! – krzyknął do Yaşara, który natychmiast wybiegł.

20

Na wąskiej uliczce leżał Liondos Fersitis, parę metrów od drzwi ich domu. Obok stała klacz, liżąc jego głowę. Mehmet z Doganem oświetlali lampami nieruchome ciało. Yaşar pochylił się.

– Nie oddycha – wykrztusił przybity. Z bezradności i bólu zaczął walić w drzwi pięściami.

– Daj spokój! – Mehmet chciał go powstrzymać, ale porzucił ten zamiar. Wiedział, że to, co powie, nie ma znaczenia. Chwył trzęsącą się żonę, szarpnął Dogana, który stał jak wryty. Patrzyli na martwe ciało Liondosa, następnie szybkimi krokami udali się w kierunku dzielnicy Eligiasvei.

Nazajutrz popołudniu w ogrodzie kościoła Świętego Dymitra odbył się pogrzeb Liondosa Fersitisa. Chrześcijaństwo nie mogło mieć w owym czasie swoich cmentarzy, więc grzebano zmarłych tam, gdzie było jeszcze miejsce.

Dzwony kościelne milczały w drewnianej wieży. Turcy z powodów religijnych zakazali ich używania. Konduktowi towarzyszyły za to inne odgłosy. Ostatniej drodze Liondosa wtórował huk armat bitwy rozgorzałej w Pecie. W godzinach porannych peloponeski pułk powstańców, zadając ostateczny cios, zbliżył się do bram miasta i zdobył pierwsze strażnice tureckie. Prowadził ich bohaterstwo Cavelas i choć Turków było ponad dwa tysiące, weszli do Pety. Z tego powodu tylko nieliczni przybyli na pogrzeb.

Agni Fersiti po niedawnym porodzie ledwo szła, nie mówiąc już o bólu, jaki odczuwała w sercu po stracie ukochanego męża. Podtrzymywana przez Anastasię i Damianosa Megisów doszła do kościoła. Wytrzymała na ostatnim pożegnaniu i wróciła z nimi do domu. Byli też Yaşar z Ismaelem, choć nie weszli na teren ogrodu kościoła. Reszta towarzyszyła podczas opuszczania trumny do grobu, wrzucili garść ziemi i śpiesznie się rozeszli. Kilku pozostało do zakopania dołu. W ceremonii uczestniczyli bliscy, przyjaciele i współpracownicy, a z rodziny Liondosa dwie kuzynki. Nie miał nikogo więcej. Braci, rodziców, ciotki, wszystkich zabrala cholera w 1848 roku, wraz z setkami innych mieszkańców Arty i okolic. Spośród znajomych był Sotiris Fasganos, sąsiad rodziny, i brat Fotini, która została w domu, pilnując niemowlęcia.

– Jakże to niesprawiedliwe, odejść w godzinie narodzin własnego syna – komentowała.

– Kim są ci dwaj przed bramą? – pytał Tabakis, importer różnych produktów.

– To jego bliski przyjaciel Yaşar z ojcem Ismaelem – odparł Vasilakopoulos.

– Turcy go dopadli – palnął Fasganos.

– Gdyby to byli Turcy, nie pozwoliliby mu przekroczyć strażnicy – tłumaczył Malemis, dostawca materiałów i współpracownik Liondosa Fersitisa.

– Tyłu tu złodziei. Musieli go dopaść daleko stąd – komentował nauczyciel Dimopoulos i ciągnął: – Ottomański lekarz stwierdził, że Fersitis zmarł na skutek zbyt dużej utraty krwi.

– A złodzieje by go tak przecież nie zostawili! – podtrzymywał Fasganos.

– Wzięli, co chcieli, bo niczego nie miał przy sobie – dodał Derdenis.

– Czy ktoś widział Krokalousa? – wtrącił się Lemas, wszędobylski typ, co to wiedział wszystko o wszystkich i żył życiem innych, rozgłaszając plotki. Nikt nie odpowiedział, jakby go nie słyszano.

22 – Mieli jakiś zatarg? – ciągnął. – Sąsiedzi. Ich domy stoją obok siebie, a nawet nie przyszedł na pogrzeb?

I znowu nikt mu nie odpowiedział. Sporadycznie słyhać było wystrzały armatnie z Pety. Dwóch grabarzy zakończyło swoje dzieło i oddalili się wraz z popem.

Na drodze do greckiego bazaru słyhać było szybkie kroki. Życie toczyło się swoim rytmem. Tureccy żołnierze sprawdzali, czy sklepy są otwarte. Kto nie pracował, był podejrzany o kolaborowanie z powstańcami i wzywany na przesłuchanie. Później najczęściej trafiał do więzienia.

– Życie wciąż w naszych rękach – powiedział Tabakis. Rozeszli się.

O poranku trzynastego kwietnia sześć tysięcy otomańskich żołnierzy, prowadzonych przez Albańczyka Celiosa Picarisa i angielskiego stratega Sandersa, konsula Prewezy, pokonało sześciuset powstańców w Pecie. Tylko niedobitki stawiały jeszcze heroiczny opór po wycofaniu się Kicosa Cavelasa z jego oddziałem na wyzwolone części Grecji. Karabiny maszynowe Ottomanów kosiły greckich bojowników, łamiąc swym łaskotem serca chrześcijańskich mieszkańców Arty. Walki utrudniał deszcz, na skutek którego zaciniała się stara broń Greków. Potęga Turków triumfowała.

Zgasły ponownie nadzieje tych, co śnili o wyzwoleniu miasta, a Peta spłonęła. Jej mieszkańcy opuścili ją. Przez dwa następne lata pozostawała niezamieszкана.

Deszcz wciąż padał, gdy Safiye uderzała metalową kołatką w drzwi domu Fersitisa. Zamkowy zegar wybijał drugą ottomańskiego czasu, gdy ucichły odgłosy bitewne w Pecie. Drzwi otworzył Damianos Megis. Oznajmił, że dziecko całą noc płakało. Mieli iść do tureckiego szpitala wojskowego przy kościele Świętej Teodory, ale nie byli pewni, czy w takiej sytuacji otrzymają pomoc.

– Przecież szpital jest pełen rannych żołnierzy – odparła Safiye i pośpiesznie skierowała się schodami w górę.

Weszła do pokoju i kiedy zobaczyła wpółżywą Agni, zrobiło jej się żal kobiety. Wyglądała jak cień człowieka. Pewnie z powodu płaczu noworodka nie zmrużyła oka. Łkał spazmatycznie, a spanikowana matka wciąż go



tuliła, nie mogąc uspokoić. Safiye nie umknęło uwagi, że dziecko, płacząc, ssie swoje paluszki.

– Karmiłaś? – spytała.

– A co miałam robić innego? Musiałam przestać, z bólu – odpowiedziała Agni.

– A mogła nie karmić? – dorzuciła Anastasia.

Safiye nie odpowiedziała. Anastasia nie miała dzieci, brakowało jej doświadczenia.

– Daj, zobaczę twoje sutki – zwróciła się do Agni i spojrzała wymownie na Damianosa Megisa, który, spłoszony, opuścił pokój.

Agni patrzyła na nią niepewnie. Safiye wzięła od niej niemowlę i podała je Anastasii. Kazała Agni zdjąć sukienkę i usiąść. Zaczęła masować raz jedną, raz drugą jej pierś.

– Do cholery! Ty nie masz mleka! Przestało napływać!

Agni przestraszyła się i zaczęła nerwowo uciskać brodawki, by mleko pociekło.

– Nie tak mocno, bo je urwiesz! – krzyknęła Anastasia.

24 – A po co mi one teraz?! Co mam z nimi zrobić?! – Zrozpaczona matka wybuchnęła płaczem.

Safiye wzięła od Anastasii noworodka, usiadła z nim na fotelu i nasunęła otwartą buzię dziecka na swój brązowy, mięsisty sutek. Chłopczyk zassał, przestał płakać i pił łapczywie.

– Pij, maleńki... pij, mój maleńki – mówiła słodko Safiye, pieszcząc tył jego maleńkiej główki. Anastasia Megi nie mogła tego znieść. Myślała o reakcji męża Damianosa na to, że greckie dziecko, które mają ochrzcić, pije tureckie mleko. Niepojęte. Ale gdy zobaczyła ulgę na twarzy Agni, powstrzymała się od gwałtownej reakcji.

– Jakim imieniem go ochrzczisz? – spytała Safiye.

Agni spojrzała na Anastasię.

– Jeszcze za wcześnie – odparła niepewnie. – Mamy czas.

Agni popatrzyła na pusty fotel obok kominka, w którym zwykł siadać jej mąż. Omiotła spojrzeniem cały pokój: stały w nim zdobione szafki weneckie, kanapa pokryta wełnianą kapą, sekretarzyk, lakierowane krzeselka. W końcu ponownie skierowała wzrok na fotel.

– Liondos – wyszeptała i kolejny raz spojrzała na pusty fotel, jakby te dwie sylaby wypełniły przestrzeń. – Liondos! – powtórzyła. – Dam mu imię mojego męża!